

7.06.2010

Liliana Sonik: CAŁY TEN ZGIEŁK

Zazdroścę Sewilli

Gdy u nas wzbierała powódź, a z szarego nieba lały się potoki wody, w Andaluzji królowało majowe słońce. Ale tu kiedyś przestanie padać, zaś tam słońce, teraz miłe, wkrótce - i na długie miesiące - stanie się niezdanie agresywne.

Nie klimatu im zazdroścę. Zazdroścę Andaluzyjczykom autentyczności i łagodnej pewności siebie. Podobnie jak krakowianie, żyją głównie z turystów. I turystów dobrze traktują. Ale żyją dla siebie, wedle swoich kodów i swoich zwyczajów. W homogenizującym się świecie ceni się miejsca, które zachowały własne oblicze i własną specyfikę.

Gdy w wielkich, zmodernizowanych muzeach świata obudowuje się dzieła multimedialnymi prezentacjami dla gawiedzi, a od widza oddziela elektronicznymi strażnikami, w Sewilskim Muzeum Sztuk Pięknych panuje przyjemny anachroniczny spokój. Jeden pilnujący staruszek stara się czujnym okiem ogarnąć kilka sal. Bo przecież w Museo de Bellas Artes wiszą cudowne płótna Zurbarana, wielkiego andaluzyjskiego malarza, którego w Polsce prawie nie znamy. I Murilla, którego niesłusznie uważałam za cukierkowego. Można się skarbami sztuki spokojnie sycić, wyjść na patio, zawrócić do muzealnej sali. Żadnego stresu, nerwicy, zadęcia i napięcia. Tej naturalności w traktowaniu wielkiej sztuki bardzo im zazdroścę.

Gdy pół świata protestuje przeciw walkom byków, oni corridę uwielbiają. Godzinami mogą tłumaczyć, że w odróżnieniu od zwierząt rzeźnych, byki hodowane do walki są dopieszczane i szczęśliwe. Cztery lata żyją na łąkach, a kiedy giną na arenie to z honorami, w równej walce z człowiekiem, nie od elektrycznego zabójcy po smutnej wegetacji w zatłoczonej stajni, faszerywane hormonami wzrostu i chemiczną paszą. Niemal tym argumentom uległam, choć nie odważyłam się zobaczyć corridy, a gdybym się odważyła i tak nic by z tego nie wyszło, bo bilety od dawna wysprzedane, mimo że amfiteatr-muzeum liczy 12 tysięcy miejsc.

Gdy u nas mawia się pogardliwie, że procesje to ludowa starość bez wartości, w Sewilli studenci budują gigantyczne krzyże z kwiatów i postumenty (też z kwiatów) dla noszonych w procesjach obrazów. Trudno jednak dowiedzieć się coś więcej: brak informacji dla turystów. Najwyraźniej nie zależy im na obecności ciekawskich obcych. Robią to dla siebie. Wystarczy, że na Wielki Tydzień zjeżdża tylu gapiów, że hotele trzeba rezerwować z dwuletnim wyprzedzeniem. W każdym razie po procesji dzielnica świętuje. Do późna w nocy siedzą całymi rodzinami w ogródkach przed knajpkami. Zmieniają stoliki, przesiadają się i przysiadają. Bezpretensjonalnie realizują w ten sposób w wielkim mieście postulat towarzyskiego życia sąsiedzkiego. Jedzą zabawne cabrillas (gotowane miniślimaczki) i zupełnie nie przejmują się światową modą na sushi. Nie poddali się też modzie na pizzerie. Ocalały stare winiarnie, gdzie podają miejscowe wina, lane z beczek, na których kredą wypisano gatunek i cenę. Do tego tapas (świetne cazolelitas), ale przede wszystkim cienkie plastry miejscowej szynki. Mówi się, że najlepszej na świecie. W każdym razie najdroższej. Kiedyś polskie wędliny - choć robione według innej filozofii - też mogły pretendować do grand prix w swojej kategorii. Ale to już temat na całkiem inny felieton.